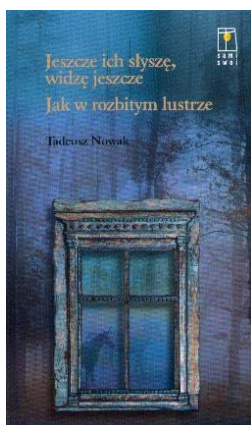


Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉



Tadeusz Nowak

Jeszcze ich słyszę, widzę jeszcze; Jak w rozbitym lustrze

Warszawa 1999, Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

Projekt okładki:
Eugenia
Rewera

"Jeszcze ich słyszę, widzę jeszcze"- spis treści:

- **Rozdział 1**
- **Rozdział 2**
- **Rozdział 3**
- **Rozdział 4**
- **Rozdział 5**
- **Rozdział 6**
- **Rozdział 7**
- **Rozdział 8**
- **Rozdział 9**

"Jak w rozbitym lustrze"- spis treści:

- **Rozdział 1**
- **Rozdział 2**
- **Rozdział 3**
- **Rozdział 4**
- **Rozdział 5**
- **Rozdział 8**

Od dziecka bałem się bicia. Jeszcze teraz dostaję gęziej skórki, gdy sobie przypomnę ojca smagającego mnie po gołych łydkach rzemiennym batem przy oborywaniu ziemniaków lub kukurydzy. Zrywam się od stołu,

składam ręce nad głową i próbuję wskoczyć do rzeki, gdy mi się przywidzi karowanie drzewa na wysoki brzeg. Konie w pianie. Uprząż w pianie. Ojciec biały od potu z wiklinową witką w dłoni podcinający zady końskie i mnie trzymającego lejce. Do tej pory nie chce mi się wyjść ze stryszku zapchanego koniczyną, gdy on lata po podwórzu z postronkiem moczonym w korycie i nie może dać sobie rady z knurem szykowanym na sprzedaż. Ciągle we śnie uciekam z weselnych bójek. Słyszę łamanie płotów, wyciąganie z za pazuchy majchrów, tłuczenie bijakiem naftowej lampy zawieszanej u stragarza, przebijanie bębna. Stęka on jak wzdęta krowa przebijana trokarem. Po przebudzeniu leżę zdrętwiały na sianie. Ostrożnie poruszam nogami i rękami. Nasłuchuję, z której części mojego ciała przez trawiaste źdźbła, na samo dno zapola, kapie kropla po kropli sącząca się krew.

A tam Staszek leży nad rzeczką. Zaraz za drewnianym mostkiem. Sto, może sto pięćdziesiąt metrów od wsi. Pół kilometra od dębowego lasu. Władek leży na skraju lasu. Koło drogi prowadzącej do leśniczówki i do najbliższego miasteczka. Franek leży nad jeziorem. Najciszej. Z dala od wsi i od ludzi. Romka pochowano na bydlęcym pogrzebowisku. Wszyscy leżą tam, gdzie ich dosięgła kula z nagana, seria z pepeszy, erkaemu. Krewnym nie pozwolono zabrać ich z drewnianego mostka, z leśnej drogi, z pszenicy nad jeziorem, z bydlęcych kości wystających z pogrzebowiska i pochować na parafialnym cmentarzu. Nawet na tym skrawku niepoświęconej ziemi przeznaczonej dla samobójców.

O tych moich snach białych od strachu wiedziała matka. Po paru latach, budząc mnie przed wyjazdem w pole, dowiedział się ojciec. I domyślili się moi koledzy z oddziału. Często, gdy sypialiśmy w lesie w czerwcowych, jeszcze nie koszonych łąkach, a ja, wtulony w trawę, zwinięty w kłębek, krzychałem, walcząc z napadającym mnie aniołem strachu, puszczały ze stena krótką serię w wygwieżdżone niebo lub krzyczeli: obława! obława! Zanim się spostrzegłem, że mnie nabierają, byłem już daleko od nich z butami w jednej, z karabinem w drugiej ręce. Wracalem do ich rehotliwego śmiechu, do ich docinków i jakby się nic nie stało, układałem się z powrotem w moim śnie podcinanym rzemiennym batem, wiklinową chabinką, przebijanym nożem. Ostatnio coraz trudniej układałem się z powrotem we śnie. Wystawały z niego moje ręce, za duże nogi, głowa. A przede wszystkim plecy. Z każdym dniem, z każdym tygodniem były szersze od wejściowych drzwi, od stodołnych wrótni.

Okolicznej ludności powiedziano, że leżą według ludowego przysłowia: Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Nie bardzo się mogę zgodzić z tym przysłowiem przytoczonym przez kapitana UB na wiecu zwołanym w gminie zaraz na drugi dzień po śmierci Romka. Choćby dlatego, że nikt Staszka, Władka, Franka i Romka nie pytał, co by chcieli sobie podłożyć pod głowę przed snem. Zwłaszcza przed takim, z którego ciężko się obudzić. Poza tym kapitan zapomniał powiedzieć zgromadzonym na wiecu ludziom, że swoich chłopców padłych nad rzeką, na skraju lasu, nad jeziorem i koło pogrzebowiska, nie powołując się na żadne przysłowia, kazał po walce

wywieźć do powiatowego miasta. Chyba że przed potyczką rozmawiał o tym z nimi. A już całkiem na marginesie można dodać, że ludowe przysłowia nie po to się rodziły, żeby nimi częstować poległych.

Przed wojną, gdy byłem jeszcze podrostkiem, widziałem, jak chłopci z mojej wsi dopadli na kościelnej drodze koniokrada. Bili go kołkami wyrwanymi z płotu, styliskami motyk, podkulkami. Bili na zabicie. A on, garbusek, próbował zasłaniać rękami swój garb. Ale ręce były za krótkie. Oslaniały tylko głowę. Wciągał ją w ramiona i zataczając się od rowu do rowu, próbował się wyrwać z młócki. Nikt nie krzyczał, nie przeklinał, nie wzywał imienia boskiego nadaremno. Cisza żniwna gromniczna stała nad drogą, nad uwijającymi się chłopami. Nad garbusem. I nie uciekłem z tej drogi, chociaż mnie odpędzano bezgłośnie, póki koniokrad nie upadł w bagnisty rów, nie znieruchomiał w nim. Stałem nad nim, gdy chłopci, odrzuciwszy za siebie kołki, rozeszli się do domów, kobiety przestały się bezgłośnie modlić, a dzieci spędzone z wierzb uciekły na pobliskie podwórze. Patrzyłem, jak garbusek wyłazi na czworakach z rowu, zgarnia z twarzy szlam i wypluwa poharatane zęby. Jak próbuje uklęknąć na drodze, powstać z kolan na równe nogi. Jak wreszcie po wielu nieudanych próbach, zataczając się od rowu do rowu, wchodzi w błonia i prowadzącą przez nie ścieżką odchodzi w pola. Znika w łąkach.

Pozostałych siedmiu kolegów z naszego oddziału skoszono z dwóch erkaemów w domu wdowy stojącym na uboczu podleśnej wsi. Skoszono ich z dwóch erkaemów ustawionych pod drewnianymi łózkami, gdy nie spodziewając się zasadzki, wyszli z lasu, żeby się ogrzać, zjeść miskę ziemniaków z żurem, wypić po szklaneczce bimbrow. Byli to dowódca naszego oddziału porucznik Chromy, jego zastępca sierżant Malutki i szeregowcy: Tadek z Budźbowy, Maciej z Pojawia, Janek z Jadownik, Edek z rzeki i Zbyszek, wysiedlony spod Częstochowy, któremu przez trzy lata nie spieszyło się w rodzinne strony. Skoszono ich z dwóch erkaemów, wsunięto w zgrzebne worki przyniesione z pobliskiego młyna, wrzucono na sanie i zawieziono do pobliskiego miasteczka. Tam ich na rynku wysypano z parcianych worków, nie przymierzając jak ścięte mrozem w jedną bryłę mokre zboże, i kazano oglądać i rozpoznawać zgromadzonym chłopom.

Do dziś, ledwie przymknę oczy, widzę mojego rówieśnika od sąsiada bitego przez gestapowców bijakami odciętymi od cepów, drewnianymi pałkami okutymi żelazem. Bili go w domu. Bili w sieni. Bili, gdy uciekał z sieni, potykając się na trzech schodkach. Bili go pod jabłonkami w sadzie. Bili na klepisku w stodole. Nie krzyczał. Nie zasłaniał się rękami. Próbował tylko uciekać, uciekać, uciekać. Patrzyłem na to wszystko ze stryszku zapchanego czerwonym koniczem. I nie krzyczałem, nie przygryzałem palców, nie wyszeptalem ani jednego słowa pacierza. Próbowalem tylko zagłuszyć głuchy odgłos bijaków i drewnianych pałek, grzmocąc się pięściami po głowie. Biłem się po głowie, gdy uciszyło się w stodole. Biłem się, gdy gestapowcy odjechali z podwórze sąsiada. Biłem się przez tydzień, ilekroć spojrzałem na

sąsiedzkie podwórze, pod sad. Pod nim, pod niskimi jabłonkami, uciekał bity na zabicie kumpel mój, rówieśnik.

Trzy dni leżeli moi leśni kumple na rynku. Trzy dni kostnieli na mrozie i na śniegu. Póki nie rozpoznano wszystkich, nie zanotowano ich nazwisk i imion, nie sprawdzono adresów, nie przeprowadzono rewizji w ich domach, nie przetrząsnięto stodół, szop, stryszków i piwnic. Jako jedyny bez nazwiska i imienia ostał się Zbyszek. Z litości, przemagając strach, wsiałem na rower i przyjechałem do miasteczka. Przepchałem się przez tłum przyglądający się moim skostniałym kolegom i gdy nikt z żołnierzy czuwających na rynku nie zbliżał się do nas, upuściłem karteczkę z jego nazwiskiem i adresem. Dopiero wtedy zabrano ich z rynku, wsunięto z powrotem w parciane worki, wrzucono na ciężarówkę i wywieziono do wojewódzkiego miasta. Od moich kumpli z sąsiednich wsi studiujących medycynę dowiedziałem się, że zatopiono ich w formalinie i przydzielono uniwersyteckiemu prosektorium.

Aniołem nazwał porucznik mój strach. - Prócz anioła stróża on ci został przydzielony. Próbuje mu się przyjrzeć. A gdy go rozpoznasz, trzepnij go w łeb i w zęby mu daj. Może się odczepi. - Tak ładnie jak porucznik nie umiałem nazwać mojej ułomności, zmory. Ale już wcześniej, w dzieciństwie, próbowałem wziąć się z nim za bary. Gdy oborywaliśmy wyrosnięte ziemniaki lub kukurydzę, naumyślnie tak prowadziłem konia za uzdę, żeby płużek trzymany przez ojca wyskakiwał z rzędów. I nie puszczałem końskiego pyska, nie uciekałem w pola, kiedy ojciec poblady z wściekłości smagał mnie bez opamiętania po nogach i po plecach. Zastaniałem tylko rękami głowę, gdy bat trzaskał mnie po ramionach. A gdy ojciec, ochłonawszy z wściekłości, podchodził do mnie i oglądał basiory na moich nogach, rękach i plecach, nie syczałem z bólu, nie zaciskałem zębów, nie przymykałem oczu. Pozwalałem mu, przyglądając się jego łapom wielkim jak podpłomyki, rozcierać podchodzące sińcem basiory, polewać je wodą. Często też na błoniach, nad rzeką, nie zaczepiany przez rówieśników podstawiałem im nogi, biłem znieńcka w zęby, żeby ich zmusić do bójk. Później z lubością zaszywając się w wiklinie, wchodząc w koronę wierzby, zlizywałem krew z rozciętej wargi, próbowałem koniuszkiem języka ruszających się zębów.

A ja jedyny z naszego oddziału leżę sobie pod wrześniowym sadem. Leżę sobie, tak jak sobie pościeliłem. Na końskiej derce rozciągniętej pod szarą renetą, z kraciastą poduszką pod głową, ze splecionymi rękami wsuniętymi pod kark po to, żebym lepiej mógł przyglądać się sikorce zbierającej ostatnie gąsienice i żeby mnie nie raziło słońce przesiewające się przez jabłonkową koronę. Oczu nie przymykam. Stulam tylko powieki do szparek. Sprawdziłem po lutowej bytności w miasteczku, że ilekroć przymknę oczy, zjawiają mi się pod powiekami moi pomordowani koledzy leżący na rynku. Nie chcę, żeby mieli do mnie żal o to, że jako jedyny z oddziału leżę sobie pod jabłonką, a jak chcę, to wstaję, zrywam dojrzałą szarą renetę, wbijam w nią zęby i nie zważając na spłoszoną sikorkę, miażdżę ją, aż mi chrupie pod czaszką.

Notka z okładki tomu:

Dwie składające się na ten tom opowieści - *Jeszcze ich widzę, słyszę jeszcze* oraz *Jak w rozbitym lustrze* - nie tworzą bynajmniej artystycznej całości. Więcej je dzieli niż łączy - tak pod względem formalnym, gatunkowo-stylistycznym, jak i tematycznym. Są to mówiąc prościej, dwa utwory "zupełnie o czym innym", opowiedziane całkiem inaczej przez dwu odmiennie ukształtowanych narratorów, będących zarazem, jak zwykle w prozie Tadeusza Nowaka, głównymi bohaterami. Żadna z tych powieści nie była dotąd (nawet we fragmentach) publikowana.

[Notka o tej powieści w Internecie](#)

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)